

# ŚWIETLANY MROK

KRZYSZTOF BONK



ŚWIETLANY MROK

KRZYSZTOF BONK

Redakcja i korekta: Maria Osińska

Projekt okładki: Agnieszka Radzięda

Konwersja wydania elektronicznego: Tomasz Semmler

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7853-439-6

Wydawnictwo: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone

e-wydanie pierwsze 2017

Kontakt: [krzysztofbonk.poczta@gmail.com](mailto:krzysztofbonk.poczta@gmail.com)

# CZEŚĆ I

## I. MATKA

W skąpym świetle pochodni spojrzała w jego mętne, przekrwione oczy. Ciągłe gorączkował, ale przestał przynajmniej choć na chwilę majaczyć. Mroczna varekai – taka istota nie miała prawa istnieć. Nie mógł jej widzieć. Sari nie mogła więc dać wiary jego słowom.

Naraz syknęła, gdy mężczyzna ścisnął ją boleśnie w talii. Siedziała na nim okraciem i dawała mu to, czego zawsze chciał. Czego chciał od niej każdy w obozie. Pozostała tu jedyną kobietą. Dłoń rannego przywódcy przesunęła się na jej pierś i wpiła się w nią równie boleśnie. Jego ciało gwałtownie stężało. Głośno zacharczał, po czym zwiotczał jak pusty worek.

Kobieta była pełna obojętności, robiła po prostu to, co musiała. Wstała i przywdziała swoje ubranie: ubłocone, pozszywane kawałki futer oraz skór imitujące kurtkę i spodnie. Po wyjściu z namiotu znalazła się pośrodku obozowiska, tuż przy płonącym ognisku. Języki jego ognia rozświetlały wieczny tutaj mrok. Trwali w nim, odkąd przekroczyli pogranicze.

– Zbyt długo przebywamy w ciemności, Sari...

Na te chrapliwie wypowiedziane słowa kobieta obróciła się. Nieopodal siedział na ziemi Zit, który odnalazł w drugim pierścieniu mroku ich rannego przywódcę. Smętnie żuł jakieś zioło, co pewien czas spluwając zieloną śliną w ogień.

– Musimy tu zostać – odparła bez wiary Sari.

– Co ty nie powiesz. Mam wrażenie, jakby zaczynała swędzieć mnie skóra. Nie będę tu czekał, aż pokryje się łuską.

– Przestań, sam wiesz, że to za wcześnie na przemianę. Poza tym jest rozkaz. Mamy przeczekać tu w ukryciu.

– W ukryciu, powiadasz? – Zit obrzucił kobietę lekceważącym spojrzeniem.

Sari odwróciła od niego wzrok i skierowała go ku płomieniom ogniska. Chciała nasycić oczy jego blaskiem, a jednocześnie ukryć przed tropicielem malujące się na jej twarzy wątpliwości. Po ostatniej potyczce z Artami ich drużyna poniosła spore straty. W obozie znajdowało się wielu rannych, lecz w mroku byli oni praktycznie skazani na zgubę. Sama żywiła nadzieję, że znajdzie się w oddziale ktoś z jajami, kto skieruje ich wreszcie ku światłu, zanim wszystkich pochłonie śmierć.

Wskazując na namiot rannego przywódcy, ponownie odezwał się Zit:

– On zdechnie w mroku, Sari. Szkoda na niego twoich rozchylonych ud.

– Może i zdechnie. – Kobieta wzruszyła ramionami. – I kto zajmie jego miejsce, ty?

– Właśnie je zajmuję, dziwko! – Zit skoczył na równe nogi i pchnął kobietę w plecy. Upadła na kolana przed płomienie ogniska. Tropiciel postawił jej nogę na karku i przeniósł na nią ciężar ciała. Sari wypięła pośladki i oparła łokcie o ziemię. Usłyszała metaliczny dźwięk odpinanej klamry od spodni. Spojrzała w tajemnicze języki ognia, jakby chciała usłyszeć od nich odpowiedź, czy reszta jej zapewne krótkiego życia tak właśnie będzie

wyglądać: walka, zimno, ciemność i głód. Dogłądanie konających i oddawanie się każdemu, kto tylko ją chciał. Poczwała, jak Zit zsuwa jej z tyłka ubranie.

Nagle do uszu Sari doszedł jakiś szum. Postawiła w stan gotowości wszystkie zmysły. Z początku ledwie słyszalny dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Dochodził szeroką ławą z mroku od strony odległego stąd pierwszego pierścienia światła. Zit zapewne też go usłyszał, bo zdjął dłonie z kobiecych bioder. Naraz przestrzeń wypełnił przeciągły, potępieńczy skowyt.

Sari otworzyła szeroko usta, jej oddech gwałtownie przyspieszył. Sparaliżował ją strach. Zrozumiała, co nadchodziło – zwiastuny mroku. Odwróciła się, lecz Zita nigdzie nie było. Wiedziała, że powinna wszcząć alarm w obozie, ale nie była w stanie, lęk jej na to nie pozwalał. Zaś szum przybliżał się z każdą chwilą. Kobieta poczuła na części obnażonego ciała lodowaty podmuch wiatru. Wtedy nie wytrzymała napięcia. Podciągnęła szybko spodnie i w panice pobiegła na oślep w kierunku drugiego pierścienia mroku.

Wpadła między drzewa za obozowiskiem, potknęła się i runęła w błoto. Podnosząc się, usłyszała za sobą przerażający skowyt, zmieszany z rozdzierającymi ludzkimi wrzaskami. Oczywiste było, że za jej plecami właśnie rozpoczęła się rzeź. Sari wstała i drżąc na ciele, rzuciła się przed siebie, byle dalej od tego przeklętego miejsca. Biegła spowita w ciemnościach przez gęsty las. Smagały ją gałęzie i naznaczone cierniami liście, raniąc dotkliwie, ale nie zwracała na to uwagi. Chciała żyć, tak bardzo pragnęła żyć.

Nie była w stanie określić, jak długo uciekała. W końcu drogę zagroziła jej przepaść, a w dole huczająca rzeka. Ciężko dysząc, Sari przewróciła się na ziemię. Jej ciało otulił lodowaty chłód. Dygocząc z zimna i strachu, cicho łkała. Jak nędzna nie wydawałaby się jej egzystencja, kobieta nie

chciała odchodzić z tego świata. Równocześnie miała świadomość, że jeżeli zostanie zbyt długo w mroku, to umrze z zimna i głodu. Albo też zacznie tracić wzrok, jej oczy staną się białe jak mleko. Będzie widzieć tylko cienie, a jej pozostałe zmysły się wyostrożą. Ciało pokryje się łuską i wyrosną z niego kościste ostrza, paznokcie zmienią się w długie szpony. Stanie się zwiastunem mroku, a będzie to dopiero początek odrażającej przemiany. Później pojawi się nienasycony głód: głód ludzkiej krwi, krwi ludzi światła. Sari wzdrygnęła się na tę myśl. Po pewnym czasie zapadła w płytki, przerywany sen.

Nagle gdzieś w mroku usłyszała skowyt. Gwałtownie poderwała się na nogi. Wyjęła zza paska nóż i czujnie ustawiła się w kierunku zasłyszanego odgłosu. Serce waliło jej jak oszalałe. Jego szybkie, miarowe uderzenia dudniły na tle szumu rzeki za jej plecami. Przeciągły, wysoki dźwięk pojawił się ponownie, lecz tym razem bliżej. Sari kurczowo ścisnęła nóż. Próbowwała przedrzeć się wzrokiem przez osaczające ją ciemności. Bez powodzenia. Najwyraźniej znajdowała się już w drugim pierścieniu mroku, gdyż czerń wokół niej była niemal nie do przeniknięcia.

Kobieta usłyszała przed sobą kroki. Tuż koło niej wyłoniła się czyjaś sylwetka i zastygła w bezruchu. Sari wstrzymała oddech. Powinna z całą siłą zaatakować, jednak stała jak sparaliżowana. Nigdy nie była bohaterką. Postać powoli się zbliżyła i zatrzymała tuż przed nią. Z tej odległości kobieta mogła już rozpoznać znane jej rysy. Przed nią stał Zit. Jego policzki i czoło częściowo pokryły się łuską. Podniósł rękę i oparł ją na gardle Sari. Poczowała, jak ostre szpony wżynają się w jej skórę. W tym momencie z całych sił wbiła nóż w trzewia Zita. Ostrze weszło po samą rękojeść. Ciszę przerwał nieludzki wrzask, a Sari otrzymała potężne uderzenie w twarz, po którym upadła i potoczyła się na bok. Nóż wypadł jej z ręki i pochłonął go mrok. Została bezbronna.

Gdy kobieta spróbowała się podźwignąć, spadł na nią przechodzący przemianę w zwiastuna mroku Zit, jej niedawny towarzysz. Jego ostre jak sztylety zęby rozcięły jej ramię. Chwyliła go desperacko rękoma i przeturlała się z nim po skalnej półce, po czym oboje runęli w dół. Rozpaczliwie wymachując rękoma, Sari zdążyła złapać się krawędzi urwiska. Podczas gdy byłego tropiciela pochłonęła przepaść, a dalej wzburzona rzeka.

Kobieta zwisała bezradnie nad czarną, bezdenną otchłanią. Wsluchiwała się z przerażeniem w przybliżające się wysokie dźwięki. Jedyne, co mogła w tej chwili uczynić, to wybrać rodzaj swojej śmierci. Wszystko mówiło jej, że powinna rozluźnić palce i dać się pochłonąć wodzie. Lecz za nic nie mogła tego uczynić. Tak bardzo chciała żyć, choć przez jeszcze jedną ulotną chwilę.

Raptem jakaś masywna dłoń chwyciła za jej zranione ramię i niczym piórko poderwała ją do góry. Przerażona Sari znalazła się przed potężną postacią. Spodziewała się, że to zwiastun mroku, który otworzy na jej ciele wszystkie żyły. Jedna dłoń postaci ciągle spoczywała na jej krwawiącym ramieniu, podczas gdy druga złożona została na jej głowie. Wtedy kobietę opuściły wszystkie siły. Niebawem opuściła ją także świadomość.

\*

Sari ocknęła się w ziemiance zamkniętej od góry drewnianą klapą. Wewnątrz wymacała futra, dzięki którym mogła uniknąć zamarznięcia, a także czerstwy chleb i bukłak z wodą. Domyśliła się, że temu, kto ją pochwycił, była do czegoś potrzebna.



Rozpoczęło się pełne ciszy, niezdolne oczekiwanie. Co pewien czas otwierały się drzwiczki w klapie, przez które ktoś wrzucał pożywienie. Uwięziona kobieta wciąż trwała w permanentnej ciemności, zimnie i strachu. Oczywiście było, że nie mogło ją tutaj czekać nic dobrego. Co chwilę nerwowo wodziła dłonią po skórze w obawie przed wymacaniem rogowatej łuski. W końcu kompletnie straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, ile mogło go upłynąć. Zasypiała, budziła się, coś zjadła, aby posiedzieć w otępieniu, po czym na powrót kładła się spać. I tak na okrągło.

Aż pewnego razu martwą dotąd ciszę przerwały różnorodne odgłosy. Najpierw były to, znane już jej, budzące trwogę popiskiwanie. Dołączyły do nich gardłowe pomruki i słowa języków, których nie rozumiała, a które przypominały dialekty istot mroku.

Sari przyłgnęła do ściany swego więzienia. Jedyłą emocją, jaka pozostała w jej sercu, był wszechogarniający strach. W pewnym momencie drewniana kłapa uniosła się. Potężne dłonie chwyciły kobietę za ramiona i raptownie uniosły, zupełnie jak niegdyś nad wzburzoną rzeką.

Wówczas ukazał się Sari iście nieziemski widok. Spodziewała się nieprzeniknionej ciemności. Tymczasem cała mroczna przestrzeń wokół niej, także ziemia, wypełniona była srebrzystymi światłami. Wszystkie one jawiły się niczym gwiazdy na bezchmurnym, czarnym niebie, przez co Sari zacierał się horyzont. Miała wrażenie, jakby znalazła się gdzieś pośród niezmiernie, kosmicznej przestrzeni.

Cały czas gromadziły się dookoła kobiety najprzeróżniejsze dziwne istoty, których istnienia nawet nie podejrzewała. Znajdowały się wśród nich postacie duże i małe, na dwóch, czterech bądź ośmiu kończynach, ze

skrzydłami bądź rękoma, pokryte łuską, skórą bądź pierzem. Niektóre zakute w stal, inne opatulone futrami. Za to wszystkie z czarnymi oczyma.

Postać, która trzymała zszokowaną Sari, złożyła ją na plecach w płytkim dole. Rozległy się dźwięki bębnów, grzechotek i potępieńcze śpiewy. Lodowate powietrze wypełnił zapach wonnego kadzidła. Do kobiety dotarło, że stała się elementem mrocznego rytuału.

I wtedy pojawiła się ona: postać, która nie miała prawa istnieć, mroczna varekai. Jej naga sylwetka z łuskowatą skórą kameleona przybrała wygląd gwiazdzonego nieba. Spojrzała na leżącą kobietę czarnymi jak smoła ślepiami i własnymi szponami rozcięła sobie żyły w przegubie dłoni. Na łono Sari polala się czarna, lepka krew. Pozostałe istoty podchodziły kolejno do dołu, rozcinając uprzednio swoje ciało, by złożyć od siebie krwawą ofiarę.

Sari nie mogła się poruszyć. Nie wiedziała, czy jej ciało paraliżował strach, czy padła ofiarą czarów. Powoli odchodziła od zmysłów. Słyszane przez nią dźwięki zlewały się w jeden. Świat przed jej oczyma zamazywał się, wirował. Widziała obrazy ze swego przeszłego życia. Dół cały czas wypełniał się krwią, która zaczęła zakrywać jej ciało. Kiedy kobieta zachłysnęła się ciemną cieczą, z jej piersi wydarł się przeraźliwy wrzask.

\*

Elegancki odkryty powóz przemierzał z wolna rozległą równinę. Wokół beztrąsko śpiewały ptaki. Błękitu nieba nie kalala najmniejsza nawet chmura, za sprawą czego blask słońca bezlitośnie prażył czwórkę podróżników. Dojmujący upał wprowadzał wśród nich nieco leniwą atmosferę.

Kobieta spojrzała na swoją kremową, przepastną suknię z bufiastymi ramionami, przyozdobioną kwiecistymi ornamentami oraz delikatną koronką. Dotknęła szyi, na której wymacała drobne elementy naszyjnika. Zaskoczona rozejrzała się wokół.

Siedziała samotnie w powozie. Po jego bokach jechało konno dwóch zakutych w stal strażników. Naprzeciw dostrzegła plecy zwyczajnie ubranego woźnicy w słomkowym kapeluszu. Zastanawiała się, kim ona sama jest i co tutaj robi. Wtedy w jej umyśle ukazała się tożsamość Sari, w tym ostatnie chwile, jakie zapamiętała, te z krwawego dołu. Przeszedł ją lodowaty dreszcz, który zaraz ustąpił pod wpływem ciepłych promieni słońca. Ochłonawszy, kobieta skupiła wzrok na woźnicy i zwróciła się do niego nieśmiało:

– Kim jesteś?

Woźnica odwrócił się w jej stronę, ukazując znużone oblicze i oznajmił lekceważąco:

– Jak już mówiłem, jestem przyjacielem...

– Na pewno nie moim, nie znam cię.

– Jestem przyjacielem wszystkich, dzięki którym mogę się wzbogacić, muszę więc zaprotestować.

– Czyżby?

– Tak, ślicznotko, bo dzięki temu, że twój mąż zapłacił za ciebie Atrom okup, ja chętnie w tej transakcji z zyskiem pośredniczę.

– Mój mąż... zapłacił za mnie... okup...? – spytała niedowierzającym głosem kobieta, przekonana, że nigdy nie była mężatką.

– Nie dziwię mu się, wszak nosisz jego dziecko.

Zaskoczona kobieta zauważyła znaczną wypukłość na swoim łonie. Pamiętała przecież, że była bezpłodna. Nigdy nie miało być jej dane zostać matką.

– Jak to możliwe...? – wyszeptała zdumiona.

– Kurewsko prosta sprawa. – Woźnica podrapał się po kroczu. – Mogę co nieco przypomnieć.

– Pamiętam wszystko, nazywam się Sari...

– Sari? To imię dobre dla wieśniaczki. He, he... Znałem niegdyś jedną Sari, zacna była, pani Kati de Szon.

– Kati de Szon...

– Ta, wypadaloby znać własne imię.

Kobieta zwróciła uwagę na leżący koło niej kufer i otworzyła jego wieko. Ukazały jej się elementy damskiej garderoby oraz lustro. Chwyciła je i zerknęła na swoje odbicie. Nie... to nie była twarz Sari. Nie miała głębokiej szramy na lewym policzku. A poza tym... była po prostu przepiękna i... młoda, bardzo młoda, niemal dziewczęca. Kobieta otworzyła usta. Niespodziewanie zobaczyła wszystkie zęby. Jednak jej umysł, jak na złość, wciąż wydawał się umysłem Sari. Nie znajdowała w nim dosłownie niczego, co mogłoby dotyczyć niejakiej Kati de Szon.

– Dokąd jedziemy? – odezwała się po chwili.

– Nieopodal Altris.

– Dlaczego tam? – spytała z niechęcią.

– A dlaczego nie? To piękne miasto, a w jego okolicy wykwiintne posiadłości państwa de Szon.

– To miasto drugiego pierścienia światła, doszczętnie zniszczone przez siły mroku dziewięć lat temu podczas zaćmienia. – Do umysłu kobiety cisnęły

się wspomnienia młodej Sari. O tym, jak po inwazji na miasto znowu zaświeciło nad nim słońce, a Sari była jedną z tych, którzy pospieszyli tam, aby okradać martwych mieszkańców. Z żywych bowiem nikogo nie odnaleziono, a martwych odszukano okrutnie rozczłonkowanych bądź po części zjedzonych.

Tymczasem woźnica z dezaprobatą pokiwał głową.

– Z tego, co mi wiadomo, stolica księstwa Aria ma się niezmiennie wręcz doskonale. Więc chore fantazje o zniszczeniu miasta lepiej zachować dla siebie. Nie wiem, co powie na to małżonek, jeżeli zwrócę mu żonę szaloną.

Kobieta nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Próbowała odgonić natłok niepokojących myśli. Ponownie złożyła ręce na łonie. To, co się w nim znajdowało, było dla niej w tej chwili najważniejsze na świecie. Tak bardzo chciała żyć, a teraz sama przyniesie na ten świat nowe życie. Skąpana w promieniach słońca, którego miała już nigdy nie zobaczyć, uśmiechnęła się lekko. Cokolwiek się właśnie działo, pragnęła tylko, aby trwało nadal.

## II. STRAŻNIK POGRANICZA

W pierwszym pierścieniu światła, przed granicą mroku, forty strażnicze rozlokowane były wzdłuż całej granicy księstwa Aria. Co dziewiąty z nich stanowił warowną twierdzę, tworzącą pierwszą linię obrony w razie najazdu. Kegen był kapitanem jednej z tych górujących nad równinnym krajobrazem twierdz. Nosila nazwę Blask, zbudowana została na bazie trójkąta i usytuowana na skraju północnych rubieży księstwa. Dalej w tym kierunku rozciągały się dzikie stepy.

To właśnie stamtąd koczownicze, na wpół dzikie ludy dokonywały łupieskich najazdów na wioski i miasteczka księstwa. Ostatnio pogranicze zdominowali Artowie i coraz częściej zapuszczali się w pierwszy pierścień mroku, aby wyłonić się z niego na południu i przypuścić stamtąd niespodziewany atak. Dzięki temu manewrowi nie musieli przekraczać potężnej rzeki Doran, stanowiącej północną granicę księstwa. Z tego też powodu kapitanowie twierdz zobowiązani zostali do wysyłania patroli w mrok, by nie dać się zaskoczyć przeciwnikowi. Jako że było to śmiertelnie niebezpieczne zadanie, posyłane w ciemność drużyny składały się głównie ze skazańców, którzy podejmując się tej misji, odraczali swoje wyroki śmierci.

Kegen stał obecnie na murach twierdzy Blask. Spoglądał w stronę mroku, który od zawsze spowijał w ciemnościach połowę tego świata. W ostatnim czasie przepadły w nim bez wieści trzy wysłane tam drużyny. Kolejna, czwarta, wciąż się nie pojawiała. Odkąd opuściła fort, minęło ponad dwadzieścia cykli snu. Nie wróżyło to niczego dobrego, a na następną dostawę skazańców Kegen nieprędko mógł liczyć. Zdawał sobie sprawę, że tracił ich stanowczo za szybko. Czasy były jednak niespokojne i nie zamierzał kosztem niedokładnego zwiadu oszczędzać ludzi, do tego i tak skazanych na śmierć. To, że wysłane na jego odcinku drużyny nie wracały, utwierdzało go jedynie w przekonaniu, że w pobliskim mroku działo się coś, z czym należało się liczyć.

Naraz zaskrzypiała otwierana klapa w podłodze i wyłoniła się spod niej do połowy sylwetka strażnika.

– Melduję, kapitanie, powrót świetlistej varekai. Oczekuje w sali narad – oświadczył zbrojny.

Kegen skinął mu głową i niezwłocznie ruszył na spotkanie. Pomyślał, że ta dziwna istota, varekai, którą przydzielono do jego twierdzy, stanowiła

lepsze źródło wywiadowcze niż cała rzesza skazańców. Całej Arii Zakon Światła przydzielił zaledwie trzy varekai. On natomiast, dzięki młodszej siostrze, a teraz także księżnej, otrzymał pod swoje dowództwo jedną z nich.

W ogóle nie powinno go tutaj być, ale skoro udowodniono mu zlecenie zabójstwa tamtego nieszczęsnego idioty, to przyjął czasowe wygnanie na to bezkresne odludzie. Dzięki temu odbędzie pokutę. Oczyszczy swoje szlacheckie imię, a potem powróci do prawdziwego, dworskiego życia. Lecz na razie znajdował się tu, na pograniczu, i jego duma nie pozwalała mu wodzić go przeklętym Artom za nos. Stąd rad był z powrotu varekai i ciekaw wieści od niej.

Po pokonaniu spiralnych schodów baszty Kegen wyszedł na obszerny dziedziniec. Przemierzył go i otworzył drzwi, za którymi krótki korytarz prowadził z jednej strony do zbrojowni, a z drugiej do celu jego wizyty – sali narad.

Była to średniej wielkości izba z rzędami krzeseł wzdłuż podłużnego stołu, na którym leżała mapa przedstawiająca pogranicze mroku i księstwa Aria. Wysiłając swoje szaroniebieskie oczy, kapitan starał się dostrzec varekai. Bez powodzenia. Irytowało go to podczas każdego ich spotkania. Varekai, ni to człowiek, ni zwierzę, zrodzona podobno z czystego światła słońca, wtapiała się kolorem skóry w tło niczym kameleon.

W pewnym momencie rozległo się ciche klekotanie. Kegen rozpoznał ten dziwny dla niego dźwięk. Spojrzał w jego kierunku i wyłowił wzrokiem niewyraźne zarysy przykucniętej, kobiecej sylwetki. Varekai patrzyła na niego jasnymi niczym światło słońca oczyma, wypełnionymi wielkimi źrenicami. Jak zwykle z jej postawy i mimiki twarzy nie dało się nic wyczytać.

– Jestem gotowy – oznajmił jej Kegen, domyślając się, co zaraz nastąpi. Odpowiedział mu klekoczący dźwięk i kapitan ujrzał w swym umyśle obrazy. Wiedział, że te z jasną poświatą oznaczały rzeczy, które varekai widziała i które zdążyły się już wydarzyć. Te przyciemnione stanowiły prawdopodobną przyszłość.

Na początku zobaczył w umyśle niemal nieprzenikniony mrok, a więc odległą przyszłość. Pośród ciemności zauważył obozowisko i dwie rozmawiające ze sobą postacie. W pewnej chwili jedna z nich pchnęła drugą na ziemię i zsunęła jej spodnie. Kegen z zadowoleniem czekał na kontynuację, gdy nagle obserwowana para uciekła w popłochu, a w jej miejsce ukazały się zwiastuny mroku i rzeź.

– Dość! – wrzasnął rozkazującym tonem Kegen i spojrzał surowym wzrokiem na varekai. Nie miał ochoty na oglądanie obrazów masakrowanych ludzkich ciał. Chciał natomiast wiedzieć, i to bardzo, dlaczego i kiedy dokładnie zawita w te okolice całe stado zwiastunów mroku.

– Co jeszcze widziałas, pokaż! – rzucił do przykucniętej istoty.

Znowu pojawiły się wizje spowite ciemnością. Kegen zauważył potężną postać z przewieszoną przez jego ramię, bezwładnie zwisającą kobietą. Naraz obraz stał się jasny – kapitan wkroczył w przeszłość. Zobaczył swoją brzemienną żonę w jadącym powozie. Uśmiechnął się na ten widok, po czym oblał go zimny pot. W tym momencie wizje wygasły.

– Co to oznacza, pokaż mi! – zwrócił się nerwowo do varekai, ponieważ wiedział, że wszystko, co zaobserwował, układało się w logiczną całość. Zwiastuny mroku i pokazaną mu, niesioną kobietę musiało więc coś łączyć z jego żoną. Na dodatek po raz pierwszy przedstawiono mu odwrotną



kolejność zdarzeń, zaczynając od przyszłości. Jednak więcej wizji w jego umyśle już się nie pojawiło.

Zniecierpliwiony Kegen machnął niedbale ręką na varekai i zasiadł przy stole. Zgodnie z wierzeniami powinien okazywać tej istocie szacunek, jako niemal świętości, lecz nigdy nie był religijny. Tym, w co wierzył, była siła i władza, a skoro varekai mu podlegała, w jego oczach nie zasługiwała na to, aby traktować ją wyjątkowo.

Tymczasem wyglądało na to, że poza najezdami Artów jego księstwo mogło stać w obliczu innego zagrożenia, tym razem znacznie poważniejszego. Pojawienie się zwiastunów mroku w liczbie, jaką mu ukazano, zapowiadało zapewne niszczycielskie zaćmienie. Dlatego maczając pióro w kałamarzu, Kegen nosił się z zamiarem napisania dwóch zawierających ostrzegawczą treść listów: do szwagra, czyli księcia Arii, i swojej drugiej, starszej siostry. Piastowała ona funkcję najwyższej kapłanki w Zakonie Światła, którego wpływy obejmowały niemal połowę świetlistej półkuli, gdzie nieustannie świeciło jasne światło słońca. Ocenivszy sytuację, Kegen doszedł do wniosku, że w razie prawdziwego zagrożenia ze strony mroku księstwo Aria nie poradzi sobie bez pomocy Zakonu.

Kiedy skończył pisać, wrócił myślami do żony. Wciąż niepokoił go powód, dlaczego pojawiła się w wizji varekai. Z drugiej strony uspokajał się tym, że zaufany człowiek, któremu zlecił odebranie jej w zamian za okup, miał ją przywieźć do jego dworku właśnie powozem w towarzystwie dwójki strażników. Czyli dokładnie tak, jak zostało mu to przedstawione.

Rozmyślanie przerwało mu gwałtowne pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Kegen. Do pomieszczenia wpadł strażnik i pośpiesznie z siebie wyrzucił:

– Z mroku wyłonili się Artowie, są ich setki!

### III. ŚWIĄTYNIA ŚWIATŁA

Kryształowa Świątynia Światła mieściła się na wyspie pośrodku błękitnych wód jeziora Amadest. Położona była w piątym pierścieniu światła, gdzie królowały tropikalne upały. W samym wnętrzu świątyni utrzymywał się jednak przyjemny, ożywczy chłód. Działo się tak za sprawą odbijających część promieni słonecznych półprzezroczystych kryształów, z których wzniesiona została ta pradawna budowla. Ponadto kryształowe ściany świątyni, stanowiące pryzmat dla światła, wpuszczały je do środka w białych bądź tęczyowych barwach. Nadawało to wnętrząm niezwykły wygląd, pełen uroku i dostojnej gry kolorów. Sama świątynia była takich rozmiarów, że mogła aspirować wielkością do niewielkiego miasta. Znaczyły ją dziesiątki większych i mniejszych strzelistych wież, gdzie przebywały setki różnej rangi kapłanek. Pod sobą budowla ta skrywała wielokondygnacyjne, rozległe podziemia, dorównujące niemal wielkością temu, co wznosiło się nad powierzchnią.

Elea uśmiechnęła się z politowaniem i zgmiotła otrzymany list. Nieforemną kulkę papieru włożyła w płomień świecy. Rozbłysnął żwawszy ogień. Jego języki pochłonęły zapisany papier, zmieniając go w kruszące się, czarne płatki. Elea odrzuciła spopieleny list na kryształową podłogę. „Słodki, naiwny Kegen. Mimo wszystko to miło, że pomyślał o starszej siostrze”.

Kobieta wyszła z pokoju i ruszyła rozświetlonymi kolorami tęczy korytarzem do sali obrad. Same obrady były formalnością. Kluczowe decyzje

zostały już bowiem podjęte i to przede wszystkim za jej sprawą. Lecz najwidoczniej niektóre ważkie kwestie należało wypowiedzieć na głos kilka razy.

Elea była obecnie jedną z dziewięciu najwyższych kapłanek Zakonu Światła, rezydujących w Kryształowej Świątyni. Powoli zbliżała się do swego czterdziestego cyklu słońca, czyli czterdziestu lat. Większość życia spędziła tutaj i bynajmniej tego nie żałowała, wręcz przeciwnie. Już jako dziewczynka przebierała się z lubością w zakonne szaty i przepasywała złotym sznurem, symbolizującym pozycję najwyższej kapłanki. Zamiast na dziecięcych zabawach spędzała czas na modlitwach do Bogini Światła, które sama dla niej układała. Odkąd sięgała pamięcią, czuła wielkie powołanie, prawdziwy żar, poczucie misji i miłości do światła. Gdy miała dwanaście lat, rodzice ulegli jej namowom. I tak oto, z racji wysokiego urodzenia, trafiła prosto tu, do niekończących się kryształowych przestrzeni. Z radością przyjęła śluby czystości oraz posłuszeństwa Zakonowi, aby wiernie służyć Bogini Światła. Od tamtego czasu wiele się jednak wydarzyło, co odznaczyło wyraźnie swe piętno na jej dalszym życiu. Wkrótce okazało się, że w Świątyni Światła to nie modlitwy do Świetlistej Bogini, mające zapewnić światu dobrobyt i pokój, stanowiły najważniejsze zadanie. Dorastając w kryształowych wnętrzach, Elea szybko traciła dziecięcą niewinność. Stopniowo otwierały jej się oczy na okrutną działalność świetlistej inkwizycji, dwuznaczny charakter krucjat zwanych marszami światła i na powszechną wśród wysokich rangą kapłanek walkę o władzę. O ile na początku Elea miała wątpliwości co do własnej roli w zaistniałym porządku rzeczy, o tyle z czasem, odarta z naiwności, pozbyła się wszelkich skrupułów. Zawijając spiski, wchodząc w sojusze i otwarte konflikty, szybko pięła się w hierarchii władz Zakonu ku samym szczytom. A

gdy odkryła o sobie pewną dramatyczną prawdę, zrozumiała, że w jej przypadku stawka niebotycznie wzrosła. To właśnie wtedy, nie zważając na konsekwencje, zdecydowała się na kilka radykalnych ruchów w swym otoczeniu, dzięki czemu stała się nieoficjalnie pierwszą wśród najwyższych kapłanek. I to wówczas narodziła się w jej umyśle idea powołania do życia dziecka światła. Miało ono po wsze czasy zgasić na tym świecie złowrogi mrok. Być bezcennym darem dla ludzi światła. Dla niej samej miało być jednak czymś o wiele więcej. Z jednej strony wybawieniem, a z drugiej drogą do niezwykłej przemiany.

Elea wkroczyła do sali obrad. Wewnątrz znajdował się kryształowy stół o dziewięciu bokach. Przy nich stało dziewięć krzeseł, na których – odkąd liczono czas – zasiadało dziewięć najwyższych kapłanek. Główne stanowiska rozdzielano według klucza dominujących w Zakonie frakcji. Warunkiem otrzymania stanowiska najwyższej kapłanki było wysokie urodzenie oraz wniesienie opłaty, często w innych dobrach niż zwykle kosztowności. Zgodnie z tradycją najistotniejsze decyzje podejmowano tu większością głosów.

Kiedy wszystkie kobiety zasiadły na miejscach, zdjęły kaptury swoich złocistych szat. Jako pierwsza głos zabrała Elea. Było to jej prawo: rozpocząć, prowadzić oraz w wybranym momencie zakończyć obrady, a także zwołać termin następnych.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości – przemówiła zdecydowanym głosem Elea. – Mroczne Źródło zabarwiło się czernią, dziecko ciemności zostało poczęte. Ta skaza dokonała się za sprawą mrocznych sił. Nie wiemy, czy to ich własna inicjatywa czy odpowiedź na to, co od dawna planujemy. Jednakże w takich okolicznościach nie ma to już znaczenia, zostałyśmy postawione przed faktem dokonanym. Nie ma odwrotu. Musimy złożyć Bogini

Światła wymaganą ofiarę z krwi, aby obdarowała nas szczerze świetlistym dzieckiem. Inaczej możemy doczekać czasu, gdy blask naszej Bogini zgaśnie na zawsze, pogrążając nas w wiecznych ciemnościach. Nie możemy do tego dopuścić. Nie możemy zawieść ani jej, ani ludzi światła. Nosimy brzemię odpowiedzialności. Musimy działać.

W sali zapadła zgodna cisza. Lecz Elea nie spodziewała się jednomyślności. Nie pomyliła się. Jedna z kobiet podniosła nieśmiało rękę, chcąc zabrać głos. Elea skinęła jej głową na zgodę.

– A może powinniśmy znaleźć inny sposób, aby powstrzymać dziecko mroku... niewiążący się z poświęceniem krwi niewinnych? Jestem święcie przekonana, że muszą istnieć alternatywne rozwiązania, to pewne. – Słowa te padły z ust Magi, cesarskiej córki, której dobroduszością i naiwnością Elea była zwyczajnie zmęczona. W ogóle nie powinno tej kobiety tu być. Ale z różnych względów Elea musiała ją na razie tolerować.

– Proszę, siostrze. Przedstaw alternatywny plan. Uzasadnij go, a nie zwlekając, poddamy go pod głosowanie. – W odpowiedzi Magi tylko zwiesiła głowę. – Zatem – kontynuowała triumfująco Elea – zgodnie z wyliczeniami zaćmienie nad stolicą księstwa Aria dokona się za sto dwadzieścia trzy cykle snu. Wyślemy tam tyle varekai, ile zdołamy. Dokonamy za ich sprawą tego, co nieuniknione. Co niezbędne dla ludzi światła, naszej Bogini oraz jej uśpionej siostry po drugiej stronie globu, aby ją obudzić. Zarządzam głosowanie. Niech podniesie dłoń ta z was, która jest przeciw moim słowom.

– Ja podnoszę! – syknęła Waltari, córka króla Kardanoru. – Mrok zakradł się do twej duszy, siostrze, i do wszystkich tych, którzy dają przyzwolenie na tak nikczemne działanie. Nieważne, jak złociste szaty

przywdziejecie, widzę, czym się stałyście i dokąd zmierzają wasze podłe czyny!

– Dziękuję ci, siostrze, za twoje cenne uwagi – odparła spokojnie Elea. – Lecz w swojej trosce o nas, jak widzisz, jesteś osamotniona. – Kapłanka wskazała na pozostałe siedem kobiet, które nie podniosły dłoni. – Więc teraz, siostrze... łaskawie zamilcz.

– Nie zamierzam milczeć. Zgodnie z tradycją żądam próby krwi i w razie wygranej – nowych wyborów do głównego zgromadzenia!

Kapłanki skupiły wzrok na przewodniczącej rady. Ta zrobiła kwaśną minę. Chwilę przebierała palcami po blacie kryształowego stołu, aż przemówiła do Waltari:

– Spodziewałam się tego po tobie, siostrze. Wiedz, że nie dałaś mi wyboru i sama ściągasz na siebie zgubę. – Zaklaskała w dłonie. Otworzyły się drzwi i do komnaty weszły cztery uzbrojone kapłanki pełniące funkcję strażniczek. – W imieniu naszej rady zostajesz aresztowana, Waltari. Wszystkie tu obecne, nawet Magi, zgadzamy się co do tego, że gra toczy się o zbyt wysoką stawkę, aby bawić się dla twojej uciechy w stare rytuały.

– Obyś zdechła w mroku, suko! – krzyknęła kobieta, której strażniczki wiązały ręce.

– Zakneblujcie ją i umieśćcie pod strażą w jej pokoju. Do odwołania nie wolno jej go opuszczać.

– Skąd taka łaskawość? Czemu nie nakarmisz mną swoich pupilek, siostrze?!

– Jeszcze słowo na ten temat przy niewtajemniczonych... a zgodnie ze starymi zwyczajami, które tak hołubisz, sama wytnę ci niewyparzony język, którego nie wiesz, jak używać.

Waltari zamilkła i dała się wyprowadzić z komnaty. Kiedy osiem kobiet pozostało samych, przewodnicząca zgromadzenia odezwała się ponownie:

– Zatem decyzja ostatecznie zapadła. Złożymy wymaganą ofiarę z krwi. Zgodnie z odwiecznym prawem dziecko światła narodzi się w mroku. Imię jego matki, ze względów bezpieczeństwa, będę znała tylko ja. Dziękuję wam, siostry. Niniejszym zamykam obrady.

#### IV. PRZYBOCZNY

Danen przyglądał się, jak najwyższa kapłanka Magi żegna się ze swoją bliźniaczą siostrą. Obie kobiety były podobne do siebie niczym dwie krople wody. Te same długie, kręcone, kasztanowe włosy, łagodne rysy twarzy, nieco zadarte noski, pucułowate policzki, tajemnicze, zielone oczy.

Magi czule pocałowała siostrę w czoło. Obie kobiety popatrzyły jeszcze na siebie bez słowa, po czym każda udała się konno w inną stronę. Siostra Magi do pobliskiej Kryształowej Świątyni, ona sama na północ, w kierunku ziem Cesarstwa. Po chwili dołączył do niej Danen.

– Jesteś pewien, że nikt was nie śledził? – zapytała go nieufnie Magi, kiedy zrównali gniade konie.

– Ręcę, że nikt z ludzi, ale sama wiesz... to tereny Zakonu. Nie dam sobie głowy uciąć, że nie nadzialiśmy się po drodze na jakąś varekai. – Danen rozłożył wymownie ręce, wskazując na bujną, tropikalną roślinność po obu stronach drogi.

– Rozumiem. Niestety Elea staje się nieznośnie podejrzliwa, nawet wobec mnie, choć uchodzę w jej oczach za słodką idiotkę. Nie mogę opuścić świątyni na dłużej niż dwa cykle snu, nie wzbudzając dodatkowych podejrzeń. Stąd podmiany musieliśmy dokonać już tutaj.

– Coraz bardziej ryzykujesz. Ufam, że wiesz, co robisz, zresztą... jak zwykle. – Danen puścił kobiecie oko. Osobiście nie obawiał się komplikacji. Zawsze dopisywało mu szczęście, liczył więc, że i tym razem nie będzie wyjątku.

– Robię to, co niezbędne dla wyższego dobra. I... dziękuję ci, że mogę na ciebie liczyć, Danenie.

– Zawsze do usług.

– A gdzie pozostawiłeś resztę oddziału?

– Jedenaście cykli snu stąd, na północ, poza granicami Zakonu. Tam oczekuje nas dwunastu zbrojnych. To pewni ludzie.

– Oczywiście. A jak przebiega nasza rewolta?

– Zgodnie z twoimi zaleceniami przeszliśmy do defensywy.

– Słusznie. To nie czas na przewrót. Jednak taki czas nadchodzi. Niebawem większość varekai zostanie odesłana daleko do księstwa Aria. To nam oczyści przedpole i utoruje drogę do śmielszych poczynań. Wtedy uderzymy z całą siłą i definitywnie odbiorę memu ojcu władzę.

– To ostateczna decyzja? – zapytał obojętnie Danen, bardziej po to, by podtrzymać dyskusję, niż z powodu rzeczywistego zainteresowania tematem.

– Tak. Sam wiesz, jak się sprawy mają. Odkąd umarła moja matka, pozycja Zakonu stale się umacnia na cesarskim dworze. W sytuacji, kiedy Zakonem faktycznie włada Elea, jest to absolutnie nie do zaakceptowania. Ta kobieta jest opętana szaleństwem swej ambicji i nie zatrzyma się przed niczym,



aby zdobyć to, czego pragnie, a mierzy bardzo wysoko. Z kolei mój ojciec stale jej ulega. Musi więc odejść, postanowione.

– A jak wysoko może mierzyć ta... Elea? – spytał Danen, powstrzymując się przed głębokim ziewnięciem. Ten bezwarunkowy odruch tłumaczył osłabiającym, nieznośnym upałem. Jego rozmówczyni dla odmiany cały czas wypowiadała się pełnym pasji głosem. Danen wiedział, że po dłuższym pobycie w Świątyni Światła, gdzie udawała kogoś, kim nie była, musiała odreagować, opowiadając mu o ważnych dla siebie sprawach, które jego samego niespecjalnie interesowały, mimo że nieraz łączyły się z jego późniejszymi zadaniami.

– Przecież wiesz, że celem Elei są narodziny świetlistego dziecka i w konsekwencji ostateczne zniszczenie ciemności – tłumaczyła żywiłowo Magi. – Jego krew złożona w dziewiątym pierścieniu mroku ma rozpalić bliźniacze, czarne słońce po drugiej stronie globu. Jest to osobista, przez nią forsowana, inicjatywa tej... Elei.

– Może nie byłoby to takie złe? Cóż dobrego może wynikać z istnienia mroku?

– Równowaga, mój drogi Danenie, równowaga. Jeżeli zostanie zachwiana, nie wiesz, co się wydarzy i dokąd to ostatecznie doprowadzi. Jeżeli mrok odejdzie, nagle połowa tego świata stanie otworem przed ludźmi światła. Wszyscy władcy pogranicza rzucą się na nowe ziemie niczym chmara wygłodniałych sępów, jak i sobie nawzajem do gardeł. Będzie to zarzewiem kolejnych konfliktów, krwawych wojen. Kto zaś na tym najbardziej skorzysta i zabezpieczy artefakty w dziewiątym pierścieniu mroku?

– Niech zgadnę... Zakon Światła? Elea?

– Właśnie, przede wszystkim Elea. – Trzymając dłonie na wodzach, Magi zacisnęła je w pięści. – Nie dopuszczę do tego, aby wpływy tej kobiety jeszcze bardziej się umocniły. Jeżeli nic nie stanie jej na przeszkodzie i połączy pradawne moce światła i mroku... Nawet nie chcę snuć domysłów, czemu mogłoby jej to posłużyć. Zamiast tego wolę...

– Działać.

– Właśnie, działać. Otóż to.

– Nie przesadzasz trochę z tym wszystkim...?

– Nie sądzę. W każdym razie nie zamierzam być bierną obserwatorką wydarzeń. Pamiętaj, że wszystko, co czynię, czynię dla wyższego dobra.

– Którym jest...?

– Równowaga, jak wiesz, równowaga, drogi Danenie. – Kobieta pokiwała znacząco głową, jakby sama utwierdzała się w słuszności wypowiedzianych słów.

– Jakie więc kroki zamierzasz przedsięwziąć?

– Na początek otrzymasz ważną misję. Wybacz, nie przypadnie ci do gustu.

– Podróż w mrok...

– Nie inaczej. Siły mroku także są podzielone. Podobnie jak ludzie światła nie stanowią monolitu. Wśród nich znajdują się różne frakcje i wchodząc z niektórymi w układy, możemy wiele zyskać.

– Co zatem mam uczynić? – zapytał bez wiary Danen. Magi zaczęła wyliczać:

– Po pierwsze udasz się w podróż do Artów. Przekażesz im informację o dokładnym miejscu i czasie zaćmienia. Niech uderzą na księstwo Aria, kiedy ponownie zaświeci nad nim słońce.

– Czemu to robimy?

– To rodzinne księstwo Elei. Sama postanowiła je podpalić. My zadbamy o to, aby został z niego już tylko popiół.

– Wśród najwyższych kapłanek kwitnie siostrzana miłość, chwała niech będzie Świetlistej Bogini. – Ręce Danena uniosły się w szyderczym geście.

– To polityka. Nie zna litości, sam wiesz. – Magi skarciła mężczyzną srogim wzrokiem. – Kiedy rozmówisz się z Artami, zapłacisz im, aby ich szamani wprowadzili cię w mrok, umawiając wcześniej na spotkanie z mrocznym lordem, Dagothem. Musisz się od niego dowiedzieć, gdzie, kiedy i z czyjego łona narodzi się w świetle mroczne dziecko. Z tą informacją powrócisz do mnie.

– Chcesz zabić to dziecko? – Obojętność raptem opuściła głos Danena. Spojrzał na Magi z wyrzutem.

– Nie myśl o tej istocie jako o dziecku – obruszyła się kobieta. – To broń. Niezwykle niszczycielska broń. To esencja mroku, destrukcji. Jeżeli jej krew skazi pierwotną komnatę w dziewiątym pierścieniu światła, pożegnasz się, jak i my wszyscy, z blaskiem słońca, i to na zawsze.

– Nie brzmi to najlepiej...

– Nic nie brzmi gorzej. Dlatego ta misja to absolutny priorytet i musisz wykonać ją osobiście, bezwzględnie. – Magi nie pozostawiła Danenowi złudzeń.

– A co ze świetlistym dzieckiem... Je także będziesz chciała pozbawić życia?

– Ta istota także musi zostać wyeliminowana.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Żeby poprawić nastrój, Magi w pewnym momencie przyjaźnie zagadnęła:

– A co słysząc u twojej wojowniczej żony? Wciąż walczy na skalnym froncie?

Na wspomnienie swej nowej wybranki mężczyzna nagle się rozpromienił. Wyprostował się w siodle i dumnie, choć z pewną trwogą, powiedział:

– Ta kobieta mnie po prostu przeraża. Wyobraź sobie, że spodziewa się naszego dziecka, a mimo to wciąż nie chce odłożyć włóczni i łuku, wciąż walczy. Doprawdy nie wiem, jak jej przemówić do rozumu.

– Danenie... musisz... – Magi zająknęła się, zupełnie jakby zabrakło jej tchu w płucach. Po chwili dodała już zdecydowanym tonem: – Musisz zabrać swoją żonę z pierwszego pierścienia światła, natychmiast. Do zaćmienia słońca musi go opuścić, to absolutna konieczność. – Po tym oświadczeniu kobieta odwróciła wzrok od towarzysza podróży. Ten, widząc jej zachowanie, zrozumiał, że szykowało się coś naprawdę złego. Coś, czego Magi nie zdecydowała mu się do tej pory wyjawić. Milczał, czekając, aż powie cokolwiek więcej. W końcu odezwała się: – Zrozum... Cena narodzin świetlistego dziecka jest wysoka, niezwykle wysoka. To nie tylko życie ludzi z Altris, które zostanie im odebrane podczas zaćmienia...

– Jak wysoka...? – wychrypiął ponuro Danen.

– Powiem jedynie, że wszystkie ciężarne kobiety z pierwszego pierścienia światła powinny go do zaćmienia opuścić. Wyślij gońca z wiadomością do żony. Kiedy załatwisz sprawy, jakie ci zleciłam, pojedziesz do niej. – Poprawiając kaptur na głowie, Magi dodała: – Zbliżamy się do posterunku. Lepiej, aby strażniczki nie widziały, że ze sobą rozmawiamy. Pomówimy później.

Danen skinął głową na zgodę. Zobaczył, jak u szczytu drogi pomiędzy rzędami poopatanych lianami drzew wyłania się lśniący w słońcu stalowy most. Jedna z nielicznych zachowanych w tak dobrym stanie konstrukcji z czasów istnienia Imperium Agaszika. Coś nieosiągalnego dla współczesnych inżynierów.

Na moście stały trzy zakonne strażniczki. Uzbrojone były we włócznie i krótkie miecze przy pasach. Odziane w lekkie stalowe napierśniki, białe spódnice do kolan i sandały. Danen mijał je nie tak dawno, przejeżdżając tędy w przeciwną stronę z siostrą Magi. Z jedną z nich wymienił nawet kilka uprzejmości, gdy sprawdzała jego dokument uprawniający do podróży po ziemiach Zakonu.

Na widok dwójki jeźdźców najbliższej stojąca strażniczka wyszła podróżnikom naprzeciw.

– Witaj ponownie, przybyszu – zwróciła się kokieteryjnie do Danena i szorstko oznajmiła jego towarzysze: – Widzę, że ciągle podróżujesz z mężczyzną, siostró. Tym razem, zanim pojedziesz w dalszą drogę, poproszę o twoje upoważnienie.

Magi niespiesznie wyjęła z kieszeni kartkę papieru i podała strażnicze.

– W porządku... Misja dyplomatyczna do Cesarstwa w towarzystwie cesarskiego przedstawiciela. Podpisane przez najwyższą kapłankę. Droga otwarta, siostró...

Jeźdźcy ruszyli. Raptem strażniczka złapała za uzdę konia Magi. Przyglądając się podejrzliwie kobiecie, zwróciła się do niej raz jeszcze:

– Czy ja cię przypadkiem skądś nie znam, siostró...? Kogoś mi, zdaje się, przypominasz. Zdejmij łaskawie kaptur...

Po chwili wahania Magi ujęła w dłonie rąbki materiału okrywającego jej głowę. Porozumiewawczo spojrzała na Danena i zdjęła kaptur, ukazując swoje oblicze. Strażniczka puściła uzdę i cofnęła się zaskoczona.

– Najwyższa kapłanka... – wyszeptała. W tym momencie ostrze rzuconego sztyletu wbiło jej się w gardło. Złapała się za szyję i padła na kolana, krztusząc się krwią.

Sprawca tego czynu, Danen, dobył broni i popędził konia ku bliżej stojącej strażniczce. Wymierzył jej cios mieczem na wysokości głowy. Został on sparowany drzewcem włóczni. Następnym atakiem dosięgł celu: ostra stal zagłębiła się w ciele zakonnicy między jej ramieniem a karkiem. Kobieta padła bezwładnie na stalowe podłoże.

Danen zeskoczył z konia i ruszył ku ostatniej przeciwnicy, która ustawiła się w pozycji bojowej z wyciągniętą włócznią. Gdy mężczyzna znalazł się w jej zasięgu, kobieta wykonała ku niemu dwa szybkie pchnięcia. Jedno na wysokości głowy, drugie tułowia, oba minimalnie niecelne. Kolejne pchnięcie drzewcową bronią Danen sparował mieczem. Włócznia strażniczki odskoczyła w bok, a mężczyzna kontratakował. Jego ostrze ze zgrzytem prześlizgnęło się po napierśniku kobiety, by z następnym ciosem przejechać po jej gardle. Głowa strażniczki odskoczyła do tyłu, niemal odcięta od reszty ciała.

Danen zastygł w bezruchu. Uważnie wodził wzrokiem po okolicy i nasłuchiwał. Trzy zakonnice leżały na moście w kałużach krwi, nie stanowiąc już zagrożenia. Przy zakonnych posterunkach często jednak kręciły się niewidoczne niemal varekai. Potrafiły podkraść się niezauważenie do człowieka i wyszarpać mu z ciała kawał mięsa, tak ostre miały szpony, nie

wspominając o przypominających sztylety zębach. Również Magi nerwowo rozglądała się po bokach. Naraz rzuciła pospiesznie do Danena:

– Wrzuć ciała do rzeki i odjedźmy stąd jak najszybciej.

Mężczyzna schował miecz i zajął się leżącymi na moście strażniczkami. Kiedy podszedł do ostatniej z nich, zauważył, że jeszcze tliło się w niej życie. Ich wzrok się spotkał. Kobieta patrzyła na niego przerażonymi, a zarazem pełnymi smutku oczyma. Danen nie wytrzymał jej spojrzenia. Uniósł ją i przerzucił za balustradę mostu prosto do wody. Popatrzył w dół. Na powierzchni rzeki, niczym wielkie kłody drewna, unosiły się krokodyle cielska. Gdy rozległ się donośny plusk, gady przebudziły się z letargu i zakotłowały wokół rzuconej im ofiary. Danen pomyślał, że strażniczka mogła jeszcze w tym momencie żyć. Dał jej złą śmierć, o ile w ogóle jakaś śmierć mogła być dobra.

## V. NOWE ŻYCIE

„Sari umarła. Ta kobieta zniszczona przez los nigdy nie istniała poza moim umysłem. Jestem Kati. Zawsze nią byłam. Musiałam być. Z pewnością z czasem wszystko sobie przypomnę”.

\*

– A oto i przedmieścia Altris, stolicy księstwa Aria. Niedługo dotrzemy do okazałego dworku państwa de Szon – oświadczył zmęczonym głosem woźnica, wodząc wzrokiem po wiejskich zabudowaniach. – Przypominasz sobie, kotku, te włości?

– Tak, sądzę, że tak... – skłamała bezwstydnie Kati, która odczuwała coraz większą treść na myśl o rychłym spotkaniu swojej rodziny. – Czy możemy jeszcze raz porozmawiać o moich najbliższych? – zapytała skonsternowana.

– Znowu...? – westchnął woźnica. – Dobrze, niech będzie... Posłucham, co sobie damulka o nich przypomniała, i ewentualnie skoryguję d r o b n e potknięcia.

Kati nie przypominała sobie absolutnie nic, a nic. Jednak woźnica okazał się osobą z otoczenia jej rodziny i przez ostatnie cykle snu, Kati wypytywała go o członków rodu de Szon, jego wspomnienia, czyniąc własnymi. Po chwili zaczęła wymieniać opisywane jej uprzednio osoby:

– Mój syn Albi... skończył pięć lat. Ma psa... Kastora...

– Wykastrowanego Astora... – poprawił woźnica.

– Astora... Jego ulubionym daniem są wieprzowe polędwiczki...

– Nie znosi ich. Ma po nich sraczkę. To ulubione danie pani męża, który nazywa się...?

– Kegen...

– Doskonale, wręcz wybornie – drwił woźnica. – Rodzeństwo pana Kegeny to?

– Starsza siostra, księżna Elea, oraz młodsza, najwyższa kapłanka Palis...



– Mam, kurwa, dość. – Zrezygnowany woźnica pokręcił głową, po czym bezradnie ją zwiesił. Niestety Kati miała spore problemy z właściwym zapamiętaniem imion bliskich i powiązaniem ich ze sprawowanymi przez nich funkcjami. Czuła się przez to momentami głupia, niczym Sari.

Jej dialog z woźnicą trwał jeszcze jakiś czas, dopóki na horyzoncie nie pojawił się zbliżający się do nich jeździec. Kati zorientowała się, że nie był to strażnik, którego wysłano przodem, by uprzedzić domowników o jej szczęśliwym powrocie.

– Kto to jest? – zwróciła się do woźnicy, dyskretnie zasłaniając ręką usta, a drugą pokazując galopującego jeźdźca.

– To, zdaje się... tak, to Dren. Przyjaciel rodziny de Szon, zubożały szlachcic.

– Znam go? – zdążyła jeszcze zapytać Kati, zanim jeździec zrównał się z jadącym wozem.

– Bardzo dobrze – odparł ściszym głosem woźnica i gromko powtórzył: – Bardzo dobrze znowu cię widzieć, Dren! Oto i nasza zguba, cała i zdrowa, tylko zobacz! – wskazał na Kati.

Przybyły mężczyzna i siedząca w powozie kobieta przyjrzeni się sobie uważnie. Kati uznała, że Dren był około czterdziestki. Jego rysy twarzy nadawały mu wyraz pewnej surowości i głębokiej powagi, potęgowane przez rząd poziomych zmarszczek na czole. Włosy miał ciemnobrązowe, krótko ostrzyżone. Był szczupły i wydał się Kati całkiem przystojny. Przywitał się z nią uprzejmie, nisko się kłaniając:

– Pani Kati, wszyscy jesteśmy wielce radzi, że wraca pani do domu. To dla nas wszystkich wielkie szczęście.

Kobieta spieszyła się na te słowa i opuściła wzrok na podłogę powozu. Wciąż prześladował ją, niczym złowrogi cień, umysł Sari, a ta była wiecznie lekceważona. Nie przywykła do miłych słów pod swoim adresem i zwyczajnie nie wiedziała, jak się zachować. Krępującą ciszę przerwał woźnica:

– Pani Kati będzie potrzebowała trochę czasu, aby dojść całkiem do siebie.

– To znaczy? – zapytał Dren.

– Ma coś z głową – wypalił woźnica.

– Ale... ja... – Kobieta zrobiła zakłopotaną minę.

– Ślicznotka poza cnotą – tłumaczył woźnica, wskazując na wypukły brzuch kobiety – straciła też pamięć.

Ponownie zapadła cisza, którą tym razem przerwał Dren:

– To zapewne przejściowe problemy – zwrócił się do Kati. – Niech się pani o nic nie niepokoi. We wszystkim proszę polegać na mnie. Będę blisko i postaram się, aby wszystko pani sobie przypomniła. Proszę mi zaufać.

– A mój... mąż...?

Dren spojrział w bok i patrząc gdzieś w bezkresny horyzont, z zadumą odpowiedział:

– Kegen pisał, że otrzymał przepustkę i zjawi się, by osobiście powitać żonę. Lecz ciągle się nie pojawił. Coś go musiało widocznie zatrzymać.

– Widocznie tak – potwierdził woźnica, zupełnie jakby brak pana domu był najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. – A co z moją zapłatą? – dodał łapczywie.

Dren sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął z niej bransoletkę z niebieskimi koralami irium.

– Dziewięć, zgodnie z umową. – Wręczył woźnicy zapłatę.

Obdarowany nic nie odpowiedział. Przeniósł wzrok z Drena na Kati. Potem znów na niego.

– W porządku... Jeszcze drugie dziewięć, dobrze się spisałeś...

Po otrzymaniu dodatkowej zapłaty woźnica uśmiechnął się z satysfakcją i przez resztę krótkiej podróży milczał. Podobnie Dren, który raz po raz obdarzał Kati uspokajającymi spojrzeniami.

Niebawem powóz zatrzymał się na podwórzu przed malowniczym dworkiem. Dom był ceglany, dwupiętrowy, w białym kolorze. Zdobily go drewniane wykończenia poręczy na werandzie i wokół okien oraz spadzisty drewniany dach. Na trawniku pasły się beztrosko kucyki. Biegał po nim jakiś pies, być może Astor. Ponadto przed domem ustawilo się w równym rzędzie kilkanaście osób.

Kiedy Kati stanęła na ziemi, podbiegł do niej chłopiec z jasną czupryną i wtulił się w jej długą kremową suknię. Kobieta spojrzała kątem oka na woźnicę. Ten wzruszył ramionami, uderzył konie batem i spokojnie odjechał w stronę miasta. Zdezorientowana Kati dyskretnie przeniosła wzrok na Drena, który zsiadł z konia i znalazł się koło niej. Mężczyzna delikatnie skinął jej głową i zwrócił się do chłopca:

– Witaj, Albi, przywieźliśmy ci mamę.

Speszona Kati przyjrzała się malcowi i niepewnie wydukała:

– Witaj... synu...

– Tak czekałem, tęskniłem, mamusiu! – Chłopiec wyciągnął drobne rączki wysoko w górę. Kati ujęła je w swoje dłonie, nie wiedząc, co dalej uczynić.

– Mam cię, szkrabie! – krzyknął nagle Dren, podrywając chłopca do góry i sadzając sobie na karku. – Mamusia przebyła długą drogę. Jest

zmęczona, damy jej trochę odpocząć. Za to później zabiorę cię na ryby, co ty na to?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko i zaklaskał ochoczo w dłonie. Natomiast Dren odezwał się do zgromadzonych przed domem ludzi:

– Pani Kati powinna jak najszybciej położyć się spać, aby nabrać sił. Prosiłbym także, abyście wezwali dla niej medyka. Jest wyczerpana po ostatnich przejściach i trochę niedomaga. – W odpowiedzi rząd kobiecych i męskich postaci w różnym wieku głęboko się uklonił. Dren zdjął z ramion małego Albiego i poszedł do miejsca, gdzie niedawno stał powóz. Chwytał pozostawiony tam kufer i powiedział do Kati: – Zaniosę rzeczy do pani pokoju. Zapraszam ze mną.

Kobieta czym prędzej skorzystała z zaproszenia, chcąc wydostać się spod bacznej obserwacji nieznanych jej ludzi. Wkrótce znalazła się w damskim pokoju. Zdobily go kryształowe lustra, stojaki na suknie i komody, na których ułożona była z pietyzmem kobieca biżuteria.

– Przywitała panią jedynie służba – oznajmił Dren, kiedy Kati wodziła wzrokiem po przyjemnym wnętrzu, ponoć jej własnego, pokoju. – W domu nie przebywa obecnie nikt z rodziny.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc. – Kobieta uśmiechnęła się pięknie.

– Wobec służby proszę się zachowywać swobodnie, to ważne. Poza tym osoby z rodziny de Szon będzie pani widywać sporadycznie, głównie na bankietach w stolicy. Zaręczam, że po niedługim czasie odnajdzie się pani w jej dawnym życiu.

– Oczywiście... – szepnęła Kati wysokim, melodyjnym głosem, do którego brzmienia wciąż nie zdołała przywyknąć. W tym nowym wnętrzu poczuła się nareszcie bezpieczna, odprężona. Do tego pojawił się ten

mężczyzna, Dren. Kati pomyślała, że może mu zaufać i liczyć na jego pomoc. Był przystojny, miły i opiekuńczy. Wydawał się reprezentować sobą wszystko to, o czym Sari z jej wspomnień mogła w relacjach z mężczyznami tylko pomarzyć. Skarciła się za myśl, że mógłby ją mieć, gdyby tylko chciał, choćby w tej chwili.

– Proszę się nie martwić, jeżeli pamięć szybko nie wróci – przemówił ponownie Dren. – Poza tym wszystkiego może się pani nauczyć na powrót. W razie kłopotliwych sytuacji sugeruję powoływać się na migrenę oraz stan błogosławiony. To powinno wystarczyć, aby mogła pani swobodnie wybrnąć z niezręczności, gdyby takie się pojawiły.

Kati chciała właśnie skinać przymilnie głową, gdy wtem otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł mały Albi. Tak jak przedtem wtulił się w spódnicej matki i zaczął popiskiwać błagalnym głosem:

– Mamusiu, mamusiu...

– Tak, skarbie...? – Kobieta złożyła ręce na główce chłopca. Wciąż miała niezrozumiałe dla niej opory przed okazywaniem mu trochę więcej uczucia.

– Obiecaj mi... – powiedział lęklwym głosem Albi.

– Co takiego, dziecko...?

– Obiecaj mi, mamusiu, że moja siostra nie zrobi mi krzywdy!

– Twoja siostra...? – Kati przeniosła pytający wzrok na Drena. Ten, nieco zmieszany, wzruszył tylko ramionami. Albi pośpiesznie dodał:

– Moja siostra przyśniła mi się. Powiedziała mi, że jak wyjdzie z twojego brzucha, to każe mrocznej varekai obedrzeć mnie żywcem ze skóry i zawlec w mrok, gdzie pożrą mnie zwiastuny!

– Nie ma... mrocznych varekai... – odpowiedziała słabym głosem Kati, której jak żywa ukazała się w umyśle scena z krwawego dołu z Sari.

– Jest, mamusiu, jest! Stała za moją siostrą, miała takie wielkie, czarne oczy!

Kobieta popatrzyła z nerwowym uśmiechem na Drena, szukając w nim oparcia. Pragnęła, aby coś powiedział. Obrócił słowa chłopca w żart, zaprzeczył im albo zwyczajnie dał smarkaczowi klapsa. Cokolwiek, byle tylko nikt nie dawał jej podstaw do wiary w rzeczy z umysłu tej przeklętej Sari. Mężczyzna jednak tylko podrapał się po karku i chłodno oświadczył:

– Czas już na mnie, pani Kati de Szon. Wszystko będzie dobrze, zapewniam, i... proszę uważać na dziecko – wskazał na wtulonego w suknię chłopca. Skłonił się lekko i wyszedł z pokoju.

## VI. JUŻ NIGDY WIĘCEJ

Oblężenie twierdzy Blask przez Artów trwało już dwunasty cykl snu. Wyłonili się nie tylko z mroku, ale przybyli także od strony drugiego pierścienia światła. Otoczyli obrońców i żaden nie mógł się wymknąć z potrzasku. Nie było też mowy o wezwaniu pomocy. Od tamtego czasu nic szczególnego się jednak nie działo. Artowie nie szykowali się do szturm. Spokojnie rozłożyli wokół twierdzy obozowiska, jakby na coś oczekiwali. Natomiast skryci za warownymi murami obrońcy wciąż czuli się dość pewnie,

ponieważ mimo mniejszej liczebności mieli korzystną pozycję do obrony. O zapasy nie musieli się martwić, miały wystarczyć na dziesiątki cykli snu.

Aż pewnego razu na jasne dotąd niebo nadciągnęły ciemne chmury i na wyschniętą ziemię spadł rzęsy deszcz. Od tego momentu w obozie Artów zauważalne było ożywienie. W związku z tym Kegen, jako dowódca garnizonu, został wezwany na mury, aby ocenić sytuację i przygotować ludzi do ewentualnej obrony. Ale on ociągał się z przybyciem. Od rozpoczęcia oblężenia zaszył się w kwaterze, unikając kontaktu z podkomendnymi. Najzwyczajniej w świecie ogarnął go strach i nie chciał, aby ktokolwiek odczytał go z jego oblicza.

W Altris zapewniano go, że Artowie nie znają sztuki oblężniczej i w swojej twierdzy będzie bezpieczny niczym w rodzinnym domu. Obecne wydarzenia podawały to w wątpliwość.

W końcu Kegen zebrał się w sobie i z poważnymi obawami ruszył wypełnić obowiązki.

– Nie pamiętam, kiedy tutaj tak lało – oznajmił, stając pośrodku warownego muru. Nie minęła chwila, a przemókł do suchej nitki.

– To sprawka artystycznych szamanów, panie – odpowiedział żołnierz. – Potrafią zakląć deszcz. Uwięzić zaklęciem chmurę w miejscu, jak rzemieniem narowistego konia.

Kegen spojrział spode łba na żołnierza. Otarł wodę z twarzy i szorstko rzucił:

– Melduj, jak wygląda sytuacja!

– Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami, kapitanie, wobec pierwszych ruchów ofensywnych nieprzyjaciela wszyscy ludzie zajęli pozycje na murach. Po szesnastu na każdym z trzech odcinków. Są gotowi, ale wydaje się, że atak

przyjdzie wyłącznie od strony mroku. – Żołnierz pokazał na zwarte szeregi Artów, którzy w strugach deszczu stali tuż za zasięgiem strzał i bełtów. – Na pozostałych odcinkach wróg wystawił tylko grupy jeźdźców.

– Nie chcą, aby ktoś się stąd wydostał... – mruknął Kegen. Ta myśl nęciła go, odkąd rozpoczęło się oblężenie. Żołnierz kontynuował:

– Niezrozumiałe jedynie jest to, że Artowie nie mają żadnych drabin, nawet tarana, zupełnie niczego, dzięki czemu mogliby się dostać do fortu. – Po chwili dodał ściszym głosem: – Ludzie to widzą, boją się czarów...

– Więc może to ten deszcz, który Artowie podobno sami tu wezwali i któremu nie pozwalają odejść! – Kegen gwałtownym ruchem ręki wskazał na kłębiące się granatowe chmury. – Może za sprawą wody rozpuszczą się nasze mury! – Dowódca chciał, aby jego słowa zabrzmiały szyderczo. Ale jego głos drżał i wyczuwało się w nim narastającą nerwowość.

Towarzyszący mu wojskowy udał, że nie odczytał stanu ducha przełożonego. Stał spokojnie, oczekując na rozkazy. Te padły niebawem:

– Niech trzydziestu sześciu ludzi ustawi się w zwartym szyku tutaj, gdzie spodziewamy się głównego natarcia. Na pozostałych dwóch odcinkach niech stacjonuje po dziewięciu zbrojnych, musimy być czujni.

Żołnierz zasalutował i pobiegł wzdłuż linii murów. Kegen został w otoczeniu garstki podkomendnych. Związał z tyłu długie, ciemne włosy, które od potężnej ulewy przylepiły mu się do mokrej twarzy i zamyslił się posepnie. Miał trzydzieści cztery lata i coraz silniejsze przekonanie, że zdecydowanie nie powinno go tu w ogóle być. Czym innym bowiem było tracenie na odludziu cennego czasu, w którym mógł pomnażać bogactwo i wpływy, a czym innym narażanie życia, które niezwykle głupio byłoby stracić w obecnych okolicznościach.



Zanim zgodził się na ten przydział, wszyscy wysocy rangą oficerowie zaręczali mu, że Artowie nie atakują głównych twierdz. Nie zawierały ponoć nic specjalnie dla nich cennego, za to koszt ich zdobycia był dla nich ogromny. Czyżby go okłamano? Czyżby doświadczał czyjejś perfidnie uknutej zemsty? Wysłać go tutaj i pozbyć się zbrojnym ramieniem Artów? Kegen zacisnął dłonie w pięści. Poprzysiągł, że gdy powróci do stolicy, poruszy niebo i ziemię, aby odnaleźć i należycie ukarać domniemanych spiskowców.

W tym czasie zaroilo się wokół od nowo przybyłych żołnierzy. Kegen poczuł się przez to pewniej. Zastanawiał się, na co jego przeciwnik jeszcze czekał. Może się wahał?

Wtem znad linii mroku poderwały się w powietrze jakieś olbrzymie cienie. Kegen wyteżył wzrok. Zdał sobie sprawę, że w kierunku twierdzy szybowało kilkanaście olbrzymich ptaków.

– Kapitanie! – wrzasnął do niego żołnierz, także prowadzący wzrokiem powietrzną eskadrę.

– Przygotować łuki! – wydarł się na całe gardło Kegen. Zaraz zmienił zdanie, kiedy zdał sobie sprawę z wielkości tego, co ku nim leciało. – Włócznie! Nie łuki! Przygotować włócznie! – Wraz z tym krzykiem zauważył, że z mroku wynurzyło się potężne zwierzę. Zrozumiał, że brama Blasku z tym czymś, co ruszyło ku niej na czterech łapach, nie miała żadnych szans. Zwierzę to przypominało nieco słońca, spotykanego w czwartym i piątym pierścieniu światła. Jednak obserwowana istota była o wiele masywniejsza, niesamowicie owłosiona, a jej dwa olbrzymie ciosy okute były stalą, podobnie jak łeb i grzbiet.

Kegen niepewnie wyciągnął szablę, po czym, nie dowierzając własnym oczom, padł plackiem na ceglaną nawierzchnię. Na linię murów nacierała

chmara czegoś, co okazało się nie ptactwem, lecz skrzydlatymi monstrami, przypominającymi gigantyczne nietoperze.

Kilku żołnierzy poszło w ślady swego kapitana, szukając schronienia z brzuchem przy podłożu. Reszta posłała w powietrze chmurę włóczni. Rozdarł się przeraźliwy skrzek, a zaraz potem rozległy się ludzkie krzyki. Skrzydlate bestie dosięgły murów twierdzy. Kegen obserwował, jak kilku zbrojnych zostaje zepchniętych i spada na dziedziniec Blasku. Paru uniosły w szponach latające potwory. Wtem monstrum spadło wprost na Kegeną. Zszokowany kapitan wypuścił szablę i chwycił w tułowiu pokrytego futrem przeciwnika. Przechylił go na bok i starał się od niego odepchnąć. Przerażony, nawet nie próbował dobyć noża. Naraz zauważył, że bestia, z którą się mocował, była już konająca. Z jej piersi sterczała wbita włócznia.

Ciężko oddychając, Kegen ukląkł i się rozejrzał. Na murach pozostała zaledwie garstka ludzi, a w górze dostrzegł te skrzydlate dziwadła, które wzbily się wysoko w powietrze.

– Odwrót... – jęknął, zdając sobie sprawę, że nie przetrwają kolejnego natarcia. Pognał pędem po schodach na dół, na główny plac twierdzy, a za nim reszta ocalałych ludzi.

Kiedy przebiegali przez dziedziniec, z dziką furją, przy wtórze głośnego trąbienia, roztrzaskane zostały bramy Blasku. Wpadając do wewnętrznych pomieszczeń twierdzy, Kegen usłyszał za sobą wojenne okrzyki Artów. Ogarnął go lęk tak silny, jak nigdy w jego dość przewidywalnym dotąd życiu. Na pełnym biegu dotarł do zbrojowni. Otworzył masywne drzwi i wskoczył do środka, a za nim grupka żołnierzy.

– Zamykać, natychmiast! – rzucił do podkomendnych, wycofując się na tyły pomieszczenia. Opadły potężne zasuwki i wrota zostały zaryglowane. Za

nimi dało się słyszeć głośne dudnienie pięściami i błagalne krzyki pozostałych uciekinierów. Przerodziły się one w nieludzkie wrzaski. Potem zapadła śmiertelna cisza.

Ocaleni żołnierze spuścili z rezygnacją głowy. Także Kegen patrzył posepnie w podłogę. Wciąż jeszcze nie do końca docierało do niego to, co się wydarzyło. Wszystko rozegrało się tak niesamowicie szybko. Kapitan odnosił wrażenie, że kiedy rozgrywa się walka o własne życie, toczy się ona jakby poza czasem.

Rozbity oddział przywołały do rzeczywistości dźwięki toporów, odbijających się z łoskotem od drewnianych drzwi zbrojowni.

– Już po nas... – wyszeptał trwożnie ku drzwiom jeden z żołnierzy, jakby prosząc je, aby nie ustępowały pod nawałnicą toporów. Te jednak ulegały i pierwsze stalowe ostrza zaczęły się przebijać na wylot.

Kegen spoglądał na to zrezygnowany. Chociaż znajdował się w zbrojowni, której ściany zdobił różnorodny oręż, czuł się bezbronny. Podobnie jego żołnierze opuścili nisko broń, jeśli w ogóle ją posiadali. Wszyscy jak jeden mąż, zahipnotyzowani strachem, śledzili tylko przedzierające się przez drzwi stalowe ostrza.

Nagle, pod wpływem potężnego uderzenia, wzbila się w powietrze chmura drzazg i desek. Droga do wnętrza zbrojowni stanęła otworem. W miejscu, gdzie dopiero co znajdowały się drzwi, pojawił się łysy karzeł. Nad nim stanął jasnowłosy zwałisty mężczyzna z okutym żelazem młotem bojowym.

– Kegen de Szon! Żywy czy trup?! – rzucił piskliwie karzeł. W odpowiedzi żołnierze odstąpili od kapitana, pozostawiając go na końcu sali samego.

– To ja... – odparł słabym głosem Kegen. I tak nie byłby już w stanie ukryć swej tożsamości. Karzeł warknął do niego:

– Tup, tup, za mną.

Kapitan posłusznie podszedł do niego na drżących nogach. Karzeł pokazał mu drogę na dziedziniec, prosto między dwoma szpalerami półnagich Artów. Kegen wykonał polecenie. Naraz usłyszał za sobą błagalne krzyki. Przystanął. Głosy za jego plecami ustały równie gwałtownie, jak się pojawiły, a on otrzymał potężne klepięcie w plecy, od którego zatoczył się do przodu. Ruszył dalej. Przeszedł przez dziedziniec twierdzy i jej zniszczoną bramę.

Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, skierowany został wraz z eskortą w stronę mroku. Wtedy zdał sobie sprawę, że był zapewne jedynym z garnizonu Blasku, któremu dane było przeżyć ten morderczy najazd. Ta myśl wlała w jego serce nadzieję, że skoro nie został zabity od razu, to najpewniej go porwano. Zapewne dla okupu. Lekko się uśmiechnął. Dlaczego od razu o tym nie pomyślał, tylko snuł wizje swego rychłego końca? Widocznie dla Artów to on był tą wartością, dla której zdecydowali się zaatakować twierdzę. W końcu dla okupu uprowadzono mu również żonę. Stało się to właśnie nieopodal tego miejsca, kiedy jechała go odwiedzić.

Wobec tych nowych przemyśleń paraliżujący go strach zaczął ustępować poczuciu wstydu. Domyślał się już, że dane mu będzie zachować życie. Lecz pojawiło się ryzyko utraty czegoś niemal równie cennego. Ostatni, niefortunny ciąg wydarzeń mógł bardzo negatywnie wpłynąć na jego dalszą polityczną karierę. Najpierw udowodniono mu udział w morderstwie wysoko postawionego kupca. Potem porwano mu żonę. Teraz z kolei sam stał się ofiarą porwania. Ponadto nie obronił twierdzy i stracił wszystkich ludzi. Po tym

gorzkim podsumowaniu Kegen ponuro zwiesił głowę. Jak tak dalej pójdzie, zamiast wpływowym mężem stanu będzie zakałą rodziny.

Gdy dotarli do granicy mroku, karzeł dał znak, aby wszyscy się zatrzymali. Olbrzymi jasnowłosa mężczyzna związał Kegenowi za plecami ręce. Uczynił to tak silnie, że wznające się w nadgarstki rzemienie sprawiały jeńcowi ból. Następnie karzeł splunął na wilgotną glebę i zwrócił się do skrepowanego mężczyzny z pogardą .

– Na kolana i całować rodzimą ziemię, z języczkiem. Zrób to z uczuciem, bo twoja szlachecka kończyzna nigdy więcej tu nie postanie, Kegenie de Szon!

## VII. W IMIĘ ŚWIATŁOŚCI I ZIEMI

– Chcę z nią porozmawiać, otwórzcie drzwi – oznajmiła strażniczkom Elea. Te rozchyliły kryształowe wrota do pokoju Waltari.

Elea weszła do pomieszczenia i udała się do stojącej pod oknem kobiety. Popatrzyła na jej smukłą, zgrabną sylwetkę, bardzo jasne, długie i proste blond włosy, opadające swobodnie po bokach na szczupłą twarz. Spojrzała w przenikliwe, błękitne oczy. Uśmiechnęła się i złożyła na jej wąskich ustach pocałunek. Nawet ona, Elea, potrzebowała czasem w świątyni kogoś bliskiego.

– Dobrze się spisałam? – zapytała obdarowana pocałunkiem kobieta.

– Jak zwykle doskonale – odpowiedziała Elea, śląc kolejne kuszące uśmiechy. – Gdybyś nie była jedną z najwyższych kapłanek, śmiało mogłabyś pretendować do miana primadonny na deskach cesarskiego teatru.

– Ale wtedy nie byłoby mnie tu z tobą... – Waltari kokieteryjnie musnęła rozmówczynię opuszkami palców po policzku i dodała z udawanym strachem w głosie: – Choć z tą groźbą odcięcia mi mego języka trochę, kochana, przesadziłaś. Wiesz, co potrafię ci dać za jego sprawą...

Po tym wyznaniu kobiety wybuchły tłumionym rękoma śmiechem. Następnie Elea spojrzała na zamknięte drzwi i zwróciła się do Waltari ściszym głosem:

– Dzięki odegraniu naszej małej scenki mamy obecnie pewność, że jeżeli przeciw naszym planom pojawi się choćby załączek spisku w radzie, jego inicjatorci udadzą się po wsparcie właśnie do ciebie, moja droga. Wkrótce zostaniesz uwolniona, a ściślej – wyjdiesz z tej komnaty razem ze mną. Zwołałam obrady, podczas których mnie przeprosisz i wyrazisz skruchę. W nagrodę wspaniałomyślnie przyjmę cię w poczet naszych sióstr na pełnych prawach najwyższej kapłanki. Prawda, jakie to proste?

– W swej prostocie zaiste doskonałe, podobnie jak ty...

– Przestań, jestem bardzo złożoną osobą – droczyła się Elea.

– Nie dla mnie... – Waltari objęła ją w talii.

– Nie teraz, nie tutaj. – Elea odsunęła od siebie kobietę. – Nieustannie mam wrażenie, że ściany twojego pokoju są niemal przeźrocyste. Zbyt wiele przez nie widać. Powinnaś zamieszkać w innej komnacie. Poza tym muszę już iść. Zaćmienie coraz bliżej i do tej pory wszystko musi zostać dokładnie przygotowane. Do świątyni ze wszystkich pierścieni światła ściągają varekai. Trzeba je odpowiednio nastroić do nowego zadania. Wiesz, że tylko ja mogę to

uczynić. Ponadto należy starannie przygotować dla Bogini rytuał krwi. Łono, które zaszczyli świetliste dziecko, już wybrałam.

– Czyje ono będzie...?

– Oprócz Bogini Światła wyłącznie ty się o tym dowiesz. Kiedy już się to dokona.

– Bogini Światła, nieustannie o niej wspominasz... Powinnam być zazdrosna...?

– Uwielbiam, kiedy jesteś. Tymczasem chodźmy.

Za drzwiami Elea natknęła się na kapłankę, która kłaniając się nisko, oświadczyła:

– Najwyższa z Dziewięciu! – Tak Elea kazała siebie tytułować zakonniczkom, które tylko jej podlegały. – Przybyła z północy varekai przedstawiła w obrazach wizję najwyższej kapłanki Magi, gdy przebywała poza świątynią. Nie była tam sama.

– Chodź ze mną. – Elea wskazała kapłance ustronne miejsce na korytarzu. Waltari podążyła za nimi. Kapłanka spojrzała pytająco na towarzyszkę Najwyższej z Dziewięciu. – W porządku – uspokoiła ją Elea, widząc jej wahanie. – Możesz mówić otwarcie.

Jej podwładna rozpoczęła relację:

– Varekai pokazała obraz najwyższej kapłanki Magi i kogoś łudzaco podobnego do niej.

– Sobowtór? – wyszeptała zdumionym głosem Waltari.

– Wydawały się identyczne – przytaknęła kapłanka. – Przyjechały z dwóch różnych stron. Zamieniły się końmi i każda z nich kontynuowała podróż w odmiennym kierunku.

– Podmieniają się, suki... – wyszeptała z podziwem Waltari. – Widać dzielą się urzędem najwyższej kapłanki.

– Towarzyszył im uzbrojony mężczyzna w średnim wieku – dodała kapłanka.

– Ciekawe, czy nim też się dzielą – zachichotała towarzyszka Elei. Ona sama zapytała oschle:

– Obrazy z przyszłości?

– Varekai pokazała tylko bliską przyszłość tego mężczyzny: obóz dzikich, potem mrok, a w nim mroczną istotę, zdaje się z głową byka. To wszystko.

– Doskonale się spisałaś i nagroda cię nie ominie. Zaprowadź mnie do tej varekai. Chcę natychmiast sama obejrzyć te wizje – oznajmiła już śmiertelnie poważnym tonem Elea.

– Powodzenia! – rzuciła za oddalającą się parą Waltari. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i udała ku spiralnym schodom wiodącym na niższe kondygnacje. Wszystko bowiem wskazywało na to, że rozpoczęcie obrad najwyższej rady zostanie nieco odwleczone w czasie. Jej z kolei wpadł do głowy pewien przewrotny pomysł, który postanowiła niezwłocznie zrealizować.

Po dotarciu do najniższego poziomu świątyni skierowała się do jednych z wielu drzwi prowadzących do podziemi. Nie przepadała za otaczającymi ją zewsząd kryształami. Miejscami były prawie przezroczyste, przez co wszędzie można było zostać podpatrzoną, nawet bez pomocy varekai. Z tych względów w celu odbycia naprawdę intymnych spotkań Waltari preferowała mniej transparentne przestrzenie właśnie w podziemiach świątyni. Upatrzyła tam sobie zamykany na klucz schowek na narzędzia. Na tyle duży, aby mógł



pomieścić dwie osoby, a jednocześnie na tyle mały, aby nie znalazła się tam także varekai.

Przy wejściu do podziemi Waltari stanęła przed pełniącymi wartę strażniczkami. Mogła zachowywać się wobec nich swobodnie – były to zaufane osoby, wierne tylko jej samej.

– Będę w umówionym miejscu – rzekła do nich. – Przyślijcie do mnie natychmiast Alistri i niech ktoś przygotuje dla niej zawczasu najszybszego konia.

W odpowiedzi jedna strażniczka błyskawicznie pobiegła w sobie znanym kierunku, a druga otworzyła drzwi. Waltari wkroczyła na strome schody wiodące w dół, gdzie przemierzyła skąpo oświetlone korytarze, wykute przed tysiącami lat w litej skale. Lubiła ten widok. Jej oczy odpoczywały tu od ciągłego widoku mieniających się różnobarwnym światłem kryształów. To miejsce przywodziło jej również na myśl rodzinne okolice. Przypominało o jej prawdziwych, szczerych związkach z Boginią Ziemi. To właśnie jej Waltari była oddana, nie czczoną tu Bogini Światła. Musiała jednak ten fakt zachować dla siebie. Podobnie jak wiele innych tajemnic, których wyjawienie komuś w świątyni byłoby zwyczajnie niebezpieczne.

Waltari dotarła do celu, czyli drewnianej komórki w ślepych korytarzu. Oparła się o skalną ścianę i czekała na wezwaną osobę. Była nią jej wszechstronnie wyszkolona zabójczyni, złodziejka i kochanka w jednym. Poznała ją wysoko w górach w królestwie swego ojca i z miejsca zafascynowała ją ta kobieta. Uosabiała wszystko, co najlepsze z natury wolnych, górskich klanów, które Waltari darzyła szczerym podziwem. Dlatego była wielce szczęśliwa, gdy Alistri zgodziła się wstąpić do jej świty i udała się z nią do Świątyni Światła. Od tamtej pory talenty Alistri stały się dla niej

nieocenioną pomocą. Pomiedzy kryształowymi ścianami dokonywała na zlecenie dyskretnych zabójstw. Kradła cenne dokumenty i starożytne woluminy z tutejszych archiwów. Alistri nigdy nie pozostawiała żadnych śladów. Była w swym działaniu doskonała, nieuchwytna. To właśnie w dużej mierze dzięki jej poczynaniom Waltari znalazła się w grupie zaufanych osób Elei. Czyli na miejscu z jednej strony bezpiecznym, a z drugiej dającym wgląd w największe tajemnice Pierwszej z Dziewięciu i ogólnie w działania Zakonu.

Nagle, niczym duch, zjawiła się Alistri. Z nałożonym na głowę kapturem i w białej, mniszej szacie wyglądała niemal identycznie jak pozostałe zakonniczki. Ponadto przepasała się szarym sznurem, co oznaczało, że reprezentowała w klasztorze najniższą rangę kapłanek. Waltari nie chciała, aby Alistri rzucała się niepotrzebnie w oczy. W razie potrzeby przewiązywała się sznurem o barwie adekwatnej do aktualnie wykonywanego zadania. Obecnie zanosilo się na to, że na pewien czas całkowicie ściągnie mnisie szaty.

Przybyła kobieta zdjęła kaptur, ukazując swe oblicze. Jej włosy były jasne i krótkie, ostrzyżone niemal do gołej skóry. Twarz prezentowała się niezwykle surowo, jakby została wykuta w skale. Waltari lubiła bijący od niej chłód, będący niczym powiew mroźnego wiatru z górskich szczytów.

Przypatrując się z lubością Alistri, najwyższa kapłanka otworzyła drzwi do komórki i wykonała zapraszający gest do środka. Obie kobiety znalazły się we wnętrzu małego pomieszczenia. Waltari zapaliła mały kaganek i postawiła go na środku, rozświetlając jego płomieniem mroczną przestrzeń.

– Witaj – odezwała się najwyższa kapłanka. – Masz ważną misję do wykonania. Posłuchaj uważnie.

– Jestem po to, by służyć – rozbrzmiał nieco metaliczny głos Alistri.